

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Nazywam się Janusz Puchciński urodzony w 1927r. Przed wojną mieszkałem w Grodnie. Miasto przepięknie położone, miasto mojego dzieciństwa i wczesnej młodości, otoczone lasami, cudownymi wzgórzami i wspaniałymi wąwozami i ^{brz}przeływającym, w owym czasie czystym, Niemnem.

Okres wakacji spędzałem przeważnie nad Niemnem i nad cudowną Łososianką. Wraz z kolegami kąpaliśmy się codziennie i pływaliliśmy jak ryby. Wiosną i jesienią odwiedzaliśmy okoliczne lasy, a zimy spędzaliśmy na nartach i łyżwach.

Wszystkich tych przyjemności można było zażywać na miejscu, nie trzeba było nigdzie wyjeżdżać.

Po lecie 1939 roku ten świat zawalił się. Grodno znalazło się pod sowiecką okupacją. Nie był to łatwy łup dla agresora. Pamiętam, tak gdzieś około 20 września w biały dzień wjechało na ulice miasta kilkadziesiąt czołgów, wszystkie duże, z działkami 45mm. Wjechali pewnie tak jak udało im się wjechać do Lidy i Skidla, ale tu natknęli się na zorganizowaną obronę miasta. Czołgi na wąskich ulicach nie miały żadnych szans. Zastosowano tu, jak wiem, po raz pierwszy w II Wojnie Światowej butelki z benzyną, które okazały się bardzo skuteczną bronią przeciwko broni pancernej. Niestety obrońcy musieli jeszcze uporać się z żydowskimi dywersantami, którzy strzelali z ukrycia do polskich żołnierzy. Zginął od kuli żydowskiego dywersanta nasz sąsiad pan Buzun, córka jego Honorata mieszka teraz na Pomorzu w Tucholi.

Na drugi dzień o świcie wojska sowieckie przypuściły atak na miasto od wschodniej strony, akurat tu gdzie mieszkałem, ul. Bratnia i Zwycięska. Miasto broniło się jeszcze cały dzień, oglądałem całe ciężarówki trupów żołnierzy sowieckich. W odwecie Sowietci wywlekali i mordowali młodzież i mężczyzn. Wyglądałem przez okno i widziałem

Jak Sowieci przebijali bagnietem naszego sąsiada. Zamordowano syna pana Mazowieckiego, zastrzelono żonę pana Buzuna - matkę trojga dzieci.

Jeszcze przez cały dzień mordowano żołnierzy i cywilów w sadzie owocowym w majątku Druck. Wiem, że w innych miejscach robiono to samo. Wiem też, że nie robiło tego NKWD, lecz wojsko, z rozkazu dowódców wojskowych.

No i rozpoczęła się koszmarne sowiecka okupacja. Człowiek nie był pewien ani dnia, ani nocy. Szczególnie w nocy lub nad ranem NKWD przeprowadzało aresztowania. Już do stycznia 40 roku masa naszych znajomych przepadła bez wieści. Jak pamiętam w styczniu była pierwsza wywózka. W 40-to stopniowy mróz ładowano przeważnie kobiety i dzieci do bydłych wagonów. Były to rodziny oficerów i wyższych urzędników. Podobno jedna trzecia ludzi z tego transportu zamarzyła na śmierć już na rampie w Grodnie. Nie słyszałem, żeby ktokolwiek ocalał z tego transportu.

Chodziłem do szkoły powszechnej nr.2 im. Stefana Batorego. Kierownikiem szkoły był pan Bogucki - wspaniały patriota i człowiek - wpadł w łapy NKWD i nie wiem co się z nim stało.

Jak przeżyliśmy tę sowiecką okupację naprawdę nie wiem. Jeżeli chodzi o głód, to sowieci są w tej dziedzinie specjalistami wysokiej klasy. Najbardziej pamiętam te koszmarne kolejki przed pustymi sklepami. Wstawało się o trzeciej nad ranem (wg. moskiewskiego czasu), żeby dostać kilo chleba, a kolejka już kilometrowa. Stawałem z siostrą i bratem i częściej nie starczało dla nas tego chleba. O mięsie, mleku czy cukrze już zapomnieliśmy, że coś takiego istnieje na świecie. Ratował nas tylko przydomowy ogródek.

Przeżyliśmy jeszcze kilka wywozek i nadszedł czerwiec 1941 roku.

W nocy 19 czerwca przyszła na nas kolej. Ojca aresztowali w pracy, a nas tzn. matkę, siostrę i brata wywlokło z domu NKWD i zapakowało na ciężarówkę marki ^{ziś} $\text{L}_{\uparrow\text{H}}$ tylko z ręcznym bagażem i jazda do transportu zestawionego z bydłowych wagonów za Niemnem na bocznicy koło huty szkła. Na tej bocznicy staliśmy część nocy i cały dzień.

Transport ruszył dopiero w nocy z soboty na niedzielę w kierunku na Mosty. W niedzielę rano byliśmy w Mostach, w których staliśmy nie dłużej jak pół godziny. Następnie pociąg ruszył w kierunku na Wołkowysk. Przypuszczam, że dojechaliśmy tam gdzieś na godzinę 9 lub 10. Na stacji zastał nas alarm lotniczy. Nadleciały jakieś samoloty. Myśleliśmy, że to zwykłe ćwiczenia, ale nie - samoloty zaczęły bombardować dworzec i pociągi stojące na stacji. Jedna bomba trafiła w tor obok naszego pociągu i wyrwana szyna zablokowała w poprzek nasz transport. Wiem, że na stacji było sporo ofiar. W naszym transporcie został zabity nasz sąsiad pan Dubikowski i jakaś kobieta. W tym samym wagonie był drugi sąsiad pan Majewski z rodziną, dwoma córkami: Wandą i Helą i synem Romkiem ale nic im się nie stało. Romek obecnie mieszka w Białymstoku, Wanda w Krakowie, Hela nie wiem gdzie ale żyje.

Jak zorientowaliśmy się, że to wojna, radość była ogromna i wstąpiła w nas nadzieja.

W Wołkowysku staliśmy dość długo bo nie było komu wypłacać nas z tej szyny (i to nas chyba uratowało).

Po paru godzinach ruszyliśmy w stronę Słonima. W Słonimiu zastał nas następny nalot. Ze Słonima ruszyliśmy do Baranowicz, do których dotarliśmy wieczorem. Staliśmy tam przez całą noc między cysternami z paliwem. Prawie całą noc trwało bombardowanie miasta i stacji. Widzieliśmy jak wybuchały cysterny z paliwem niedaleko od nas, a my siedzieliśmy bezsilni w zadrutowanych wagonach.

O świcie w poniedziałek transport ruszył i szparko rwał na wschód. Pamiętam, że słońce zaczęło wschodzić. Oprócz stukotu kół cisza była zupełna. W pewnym momencie nastąpił silny wybuch i pociąg stanął dęba. W naszym wagonie drzwi spadły z kółek i zrobiła się spora szpara. Ludzie zaczęli uciekać z wagonu, ja również wyskoczyłem na zewnątrz do rowu i patrzę a pociąg stoi w głębokim wykopie. Wydawało mi się, że z tego wykopu nie wyjdę, a nad głową brzęczą samoloty, nogi mam jak z waty. Jakoś wydostałem się z tego wozu i zacząłem szybko uciekać w stronę lasu odległego od linii kolejowej o jakieś 200-250m. Kiedy już doń dobiegłem rozejrzałem się w lewo i prawo i zobaczyłem, że za mną wbiegało na otwartą przestrzeń mrowie ludzi i w tym momencie nadleciała następna *grupa* ~~grupa~~ samolotów i zaczęła atakować ten tłum z broni maszynowej i bombami odłamkowymi; jednocześnie transport był obrzucony bombami zapalającymi. Wagony zaczęły się palić, linia kolejowa została zablokowana.

Było to 22 km przed Stołbcami. NKWDziści poszli dalej na piechotę a my zostaliśmy na polskiej ziemi.

Po jakimś czasie odnalazłem szczęśliwie resztę mojej rodziny i oddaliśmy się od torów do pobliskiej wsi.

Kiedy ucichło i samoloty przestały interesować się tą linią wróciliśmy z bratem do wagonów i jeszcze zdołaliśmy uratować część rzeczy przed spalaniem, ponieważ sąsiedni wagon już obejmowały płomienie. Jak pamiętam z relacji dorosłych zginęło tam ok. 150 osób w tym dwa wagony z ludźmi, którzy spłonęli żywcem.

Potwierdzi to również inż. Albrecht, z którym później pracowałem w stadtfervatung w Grodnie, a który był wywożony w tym transporcie razem ze swoją rodziną.

Na drugi dzień samoloty wywiadowcze zaczęły się interesować stanem

torów i okolic. Pod wieczór zjawił się chyba cały niemiecki szpital wojskowy, który natychmiast zajął się rannymi. Część operacji robiono na miejscu, resztę rannych porozwżono po okolicznych szpitalach. Była również niemiecka kronika filmowa, która filmowała niedoszłych sybiraków. Wiem, że były również relacje w prasie niemieckiej

Jest pewne, że był to jedyny transport, który nie dotarł na sybir i dlatego warto ten fakt odnotować.

Po kilku dniach zorganizowano nam powrót do domu. Wracaliśmy przez Baranowicze, Brześć, Małkinię, Ostrołękę koleją a z Ostrołęki furmankami przez Łomżę, Wasilków, Sokółkę do Grodna. Charakterystyczne było to, że niemal w każdej większej wsi mieszkańcy wywieszali transparenty witające Niemców jako wyzwolicieli. Spotykałem się z tym niemal na całej trasie od Ostrołęki do Grodna.

Wróciliśmy do domu, w którym zostały tylko gołe ściany. NKWD rozgrabiło cały nasz dobytek ale krótko się tym cieszyli.

Ojciec już w pierwszym dniu wojny wydostał się z więzienia i wrócił do pustego domu. Szczęśliwie więźniowie w Grodnie nie zostali wymordowani, tak jak to miało miejsce w innych sowieckich więzieniach.

Przez cały czas okupacji mieszkaliśmy w Grodnie. Ja pracowałem w miejskim przedsiębiorstwie transportowym - Stadtforvaltung. Szefem tam był Niemiec o nazwisku Lorenc, zresztą porządny człowiek. Nie słyszałem, żeby ktoś z jego powodu ucierpiał. Siostra i brat pracowali w byłej fabryce mebli, w której teraz produkowano skrzynki do amunicji (do 1939 roku mój ojciec był współwłaścicielem tej fabryki).

W sumie trzeba przyznać, że niemiecka okupacja w Grodnie to było

małe piwo w stosunku do okupacji sowieckiej! Przedewszystkim nie było tak potwornych kolejek po chleb i terroru bez powodu i choć skromnie, można było przetrwać ten okres.

Pod koniec 1943 roku, kiedy lotnictwo sowieckie zaczęło docierać do Grodna Niemcy zorganizowali ekipę ratowniczą. Ponieważ w skład tego zespołu wchodził sprzęt i samochody z naszego przedsiębiorstwa, ja również byłem w tym zespole i z tej racji dobrze wiem jakie skutki przyniosły te nocne bombardowania.

Raz został trafiony bombą dom piętrowy na ulicy Kalucińskiej, gdzie zginęły dwie osoby cywilne i drugim razem jedna dziewczyna trafiona odłamkiem przy ulicy Lanj^{on}wicza. Na ul. Skidelskiej zasypywaliśmy dół po bombie naprzeciw domu państwa Sowośków i to były skutki półrocznych sowieckich bombardowań. Najbardziej ucierpiało pole leżące między ulicą Graniczną, drogą do Skidla i lasem Sekretem. Spadło tam setki bomb burzących i zapalających.

Z całą odpowiedzialnością stwierdzam, że na skutek tych nocnych nalotów nie ucierpiał ani jeden Niemiec i ani jeden obiekt służący Niemcom.

Bardzo efektowne i masowe bombardowania sowieckie lotnictwo przeprowadziło w środku dnia, kiedy w Grodnie nie było już żadnego Niemca. Niemcy wycofali się za Niemen poprzedniego dnia. Rozpoczęto dywanowe naloty, które trwały około dwóch godzin. Najbardziej ucierpiała ludność cywilna i domy mieszkalne przy ul. Brygidzkiej, Jerozolimskiej, Prochowej, Artyleryjskiej i wzdłuż ul. Skidelskiej. Uszkodzony został również kościół Farny od strony ul. Brygidzkiej. Później propaganda sowiecka podała, że miasto wzięto szturmem, a że w tym mieście nie było już żadnego Niemca to nie ważne.

Muszę stwierdzić, że tym razem oddziały sowieckie nie mordowały ludności cywilnej, czego najbardziej wszyscy się bali i sporo osób

opuściło wschodnią część miasta w obawie powtórzenia się scenariusza z 39 roku.

No i tak znaleźliśmy się znowu pod okupacją sowiecką. NKWD rozpoczęła działalność. Szybko zaczęły się wypełniać więzienia "wrogami ludu". Dalsze przebywanie w Grodnie stało się niebezpieczne. Pierwszym transportem w styczniu 1945 roku wyjechaliśmy do Polski. Wysiedliśmy w Łukowie. W stronę zachodnią nie było jeszcze komunikacji i tak przeczekaliśmy wiosnę. Później ruszyliśmy dalej na zachód.

Moi rodzice już nie żyją. Siostra moja mieszka w Warszawie przy ulicy Jaracza 2m8, nazywa się Morawska Ludmiła. Brat w Toruniu na ulicy Bażyńskich 27m18 na imię ma Włodzimierz.

Ja mieszkam w Lublinie przy ulicy Kosmonautów 41 i jestem na emeryturze.

PS. Chciałem jeszcze dodać, że w jednym wagonie jechaliśmy z panią Ziajową i jej dwoma synami - moimi rówieśnikami, starszy z nich miał na imię Renek. W Grodnie mieszkali na terenie cmentarza ewangelickiego.

Syn pana Dubikowskiego jadący tym samym wagonem, w którym zginął jego Ojciec w Wołkowysku, mieszka obecnie w Grodnie. W razie konieczności jestem w stanie dostarczyć jego adres.

Lublin 6 XII 1991 Jacek Dubikowski

ulicy adres

Henryka Jaszczak

Droga Redakcyjno !!!

To wystąpienie naszego programu w telewizji, postanowiłam do Was napisać o swoim odsieczonym smartwiznem. Otóż ja Jaszczak Henryka z domu Barsze i ogólnie nie znam swojego ojca ponieważ gdy wybuchła wojna ja miałam 2 lata. Mój ojciec miał kartę mobilizacyjną białą, a z białą kartą szedł na pierwszy pobór. Mój ojciec poszedł o wschodzie cenzury a później razem z innymi kartami. To było 1 września 1939 r. opuścił swoją wioskę tj. Jedlankę obok wójki Kiełkowie a tam radomskie na punkt zbierający. Matka moja dostała od niego kartkę z Rethowa żeby się o niego nie martwiła wszystko będzie dobrze. József dbaj o siebie i moją cecerkę. Więcej żadnej wiadomości od niego nie miała. Po wojnie mama zaczęła poszukiwana przez PCK i na żaden ślad ani życia ani śmierci nie natrafili i tak jest do dziś. Ciotki wyszedł z domu i ślad się za nim zatari na zawsze. Ojciec był w stopniu oficera. Dla mnie jako ołta dziecka jest bardzo przykro że do dziś nie wiem czy żyje czy nie. O ile nie to gdzie żyje. Wasz tył się odryduje zaginionych, zamordowanych. Stawia się pomniki i robi się ich pamięć. Biedny biedny gdzie może się znaleźć i zapalić świeczkę za męża, ojca,